

Zbuntowana matka – historia prawdziwa



Nie mówi się o tym głośno, bo kiedy się mówi, nie natrafia się na zrozumienie. Można ewentualnie być wyśmianą. Depresja poporodowa? Do roboty się bierz, a nie o głupotach myślisz! Baby blues? A kto dzisiaj bluesa słucha, włącz sobie jakąś normalną muzykę.

Ciąża nie była dla mnie zaskoczeniem. Poród nie był dla mnie traumą. A mimo to nowa rzeczywistość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Karmienie piersią przychodziło mi z ogromnym trudem. Mój synek, po tym jak nie załapał ssania tuż po porodzie podczas kontaktu skóra do skóry, nie załapał go już do końca. Karmiłam go przez nakładki i przez sondę ze strzykawką, karmiłam go też przy dźwięku suszarki, żeby był spokojny. Nawał pokarmowy był dla mnie koszmarem, tak samo jak dwa zapalenia piersi, które przeszłam.

Płakałam. Pierwsze pół roku po porodzie przepłakałam.

Opłakiwałam życie, które już nigdy miało do mnie nie wrócić, wolność, którą w swojej głowie utraciłam, urodę, której w lustrze próżno było szukać. Każdy płacz dziecka wyprowadzał mnie z równowagi, nie umiałam go uspokoić, sama również nie będąc spokojną.

Obowiązki? Jakie obowiązki? Zmuszałam się, żeby rano wstać z łóżka, do 14:00 czasem udawało mi się przebrać w dres i umyć zęby, zjedzenie śniadania było luksusem. Mimo że maluszek spał dużo, nie umiałam się zebrać w sobie, posprzątać domu, zrobić prania, ogarnąć się. Ratowali mnie mama i mąż. Mama – mobilizacją do wychodzenia na spacer, mąż – wielogodzinnymi rozmowami.

Bezdziętne koleżanki kręcili głową z niedowierzaniem. Dzieciate niczemu się nie dziwiły. Szkoda, że żadna wcześniej mnie nie przygotowała, nie uprzedziła. Bo że sam poród będzie bolał – to wiedziałam. Ale że każdy kolejny dzień po nim przez następne pół roku będzie bolał jeszcze bardziej – nikt o tym nie mówił na głos.

Proces akceptacji i przemiany trwał długo. Pierwsze pół roku wycięłam z życiorysu, chcę o nim zapomnieć. Musiałam się nauczyć nowej siebie, musiałam poznać i pokochać moje dziecko. Mimo że od początku kochałam je bezwarunkowo, dopiero po jakimś czasie nauczyłam się miłości radosnej, beztroskiej. Przez drugie pół roku powoli zaczynałam się cieszyć naszymi wspólnymi chwilami, odczuwać radość z prostych rzeczy, prostych gestów.

Kiedy mój synek miał półtora roku wszystko to było już dla mnie wspomnieniem, coraz bledszym, ale wciąż wyraźnym. Czasem tęsknię za chwilami, kiedy był malusieńkim noworodkiem, ale wtedy patrzę na mojego dużego chłopca, już nie niemowlaka, tylko fajnego, komunikatywnego dzieciuszka, i cieszę się, że jestem tu, gdzie jestem. Że jestem z nim, a on ze mną.

Wciąż zdarza mi się płakać. Ale coraz częściej są to łzy

szczęścia. I tylko czasem jeszcze płaczę z żalu nad samą sobą, tą uciemienioną i zestresowaną matką, którą byłam jeszcze jakiś czas temu, płaczę z żalu nad tym, co straciłam, a co mogłam mieć, gdybym wtedy była spokojniejsza, bardziej pogodzona ze swoim życiem i swoim dzieckiem. Ale ten gniew minął, ten bunt ustąpił. I mówię sobie, że tak jak z najbardziej zbuntowanych nastolatków wyrastają potem najfajniejsi dorośli, tak z najbardziej zbuntowanych matek wyrastają te, których macierzyństwo jest dojrzałe, przemyślane i świadome. I, co najważniejsze, dzisiaj bez zająknięcia mogę powiedzieć: jestem szczęśliwa!